

Nr. 55 BIBLIOTECZKA Nr. 55

== HISTORYCZNO - GEOGRAFICZNA ==

ADAM NOWICKI

Z cyklu „Zmierzch Habsburgów”

ZDRAJCA W RODZIE HABSBURGÓW

— Nie kłamać —
bawiąc.



— Nie nudzić —
ucząc.

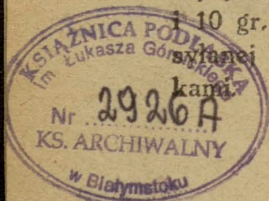
ADRES

1-wo Wyd. „Rój”, Warszawa, Kredytowa I,
Konto czek. P. K. O. 9880.

Cykl: „Zmierzch Habsburgów“.

- A. Nowicki: 1) Tajemnica pochodzenia Franciszka Józefa.
— 2) Kochanka Franciszka Józefa.
— 3) Tragedja w Meyerlinku.
— 4) Zdrójca w rodzie Habsburgów.

Prenumerata kwart. wynosi 3 zł. za kwartały bieżące i ubiegłe, t. zn. 23 gr. za książeczkę wraz z dostawą do domu. Pojedyncze tomiki cykli lub ze spisu, (patrz stronica 3-a okładki) wysyłamy po otrzymaniu 30 gr. na książkę i 10 gr. na koszt przesyłki, niezależnie od wysyłanej ilości tomików. Można nadsyłać znacz-



T O W. W Y D. „R Ó J”
sp. z ogr. odp.
Warszawa, Kredytowa 1
P. K. O. 98 - 80.

Sp. Akc. Zakł. Graf. „Drukarnia Polska”, Szpitalna 12.

948.0(109):94

I.

Moim informatorem w skomplikowanym życiu wiedeńskim, w jego tajnikach dworskich, politycznych, finansowych i dziennikarskich był przez szereg lat dr. Juliusz Szeps, syn sławnego dziennikarza wiedeńskiego Maurycego Szepsa, sam pierwszorzędnym dziennikarzem i naczelnym redaktorem zrazu dziennika „Wiener Allgemeine Zeitung“, gazety inspirowanej przez rząd, a następnie oficjalnego, dwa razy na dzień ukazującego się dziennika „Fremdenblatt“.

Człowiek wielkiej inteligencji, bardzo wykształcony, o subtelnej kulturze towarzyskiej, dzięki ojcu, który stale zamieszkał w Wiedniu w 1851 roku i założył tam w ciągu lat dwa wielkie dzienniki, naprzód „Wiener Tagblatt“, a potem „Neues Wiener Tagblatt“, i dzięki własnemu stanowisku, zmuszającemu go do utrzymywania codziennych stosunków ze sferami urzędowymi, — Juliusz Szeps znał cały Wiedeń i historję osobistą każdej wybitnej figury.

Szepsowie wyszli z Buska, majątku Badenich w Galicji. Ojciec Maurycego był tam cyrulikiem. Miał ambicję, by syn został doktorem medycyny, posłał zatem Maurycego na słynny pod owe

948.15 HABS-BURGOWE
8370
Daw
22/10 45

czasy wydział lekarski uniwersytetu wiedeńskiego. Wbrew intencjom ojca syn został najpierwszym w Wiedniu redaktorem i dziennikarzem. A jego pierwszym utworem publicystyczno-literackim była spora broszura, napisana po niemiecku z racji śmierci Adama Mickiewicza w Konstantynopolu. Z całą mocą swego dużego talentu Maurycy Szeps dał w tej broszurze wizerunek działalności poetyckiej Wielkiego Wieszczą i jego znaczenia dla Narodu Polskiego...

Do końca życia Maurycy Szeps mówił po polsku. W jego dziennikach nigdy nie było napaści na Polskę i na Polaków — napaści tak modnych w prasie wiedeńskiej między 1861 r. (początek doby konstytucyjnej) i końcem Wielkiej Wojny. Dr. Juliusz Szeps w stosunku do Polaków poszedł śladami ojca. Wprawdzie po polsku już nie umiał gdyż urodził się w Wiedniu i tam chodził do szkół, lecz nigdy nie pozwalał, by w redagowanych przez niego gazetach ukazywały się jakieś napaści i oszczerstwa na Polaków. Stałe mówił, że duchowo uważa się za Polaka.

Na kilka miesięcy przed Wielką Wojną spytałem dr. Juliusza Szepsa, czemu się to dzieje, że historia ostatniej generacji Habsburgów — mimo cnót patriarchalnych cesarza Franciszka Józefa I — jest przewznie nieprzerwanym łańcuchem skandali, wybryków i małżeństw niestosownych, które ze stanowiska politycznego autorytetu dynastji trzeba także uważać za skandal.

— Będę mówił z Panem poufnie, a więc zupełnie szczerze, gdyż wiem, że Pan teraz nie ogłosi moich słów drukiem. Wie Pan, dlaczego cesarz Franciszek Józef ma tak nieszczęśliwą rękę i dlaczego z jego ręki wszystko się rozlało niby zbudowanego sukna kawałek?

— Jakto, wszystko?

— Tak, i dynastja i cała machina biurokracyjna i wreszcie monarchia rozlała się...

— Nie wierzy Pan w ich przyszłość?

— Stanowczo nie. Franciszek Józef jest wstrętnym egoistą. Ten człowiek kocha tylko siebie. Poza sobą nie dba o nikogo. Chce mieć spokój, unika wzruszeń, wszelkie kłótnie, a nawet napomnienia pod adresem osób trzecich są mu wstrętne. Rozumie przytem, że sam osobiście nie jest w porządku, ponieważ jeszcze za życia żony utrzymywał stosunek miłosny z mężatką, której mąż dopiero przed paru laty umarł. Ten stosunek z panią de Kiss, którą świat zna pod jej nazwiskiem teatralnem Katarzyny Schratt*), zaciężył fatalnie na losach dynastji i państwa...

— Dlaczego?

— Oto dlatego, że cesarz nie śmiał odmówić ani arcyksiężętom, ani arcyksiężnom, którzy przychodzili do niego z prośbą sankcjonowania ich spraw miłosnych. Nie śmiał odmawiać, po-

*) Czytaj: A. Nowicki „Ostatnia kochanka Franciszka Józefa”, Tomik Nr. 31 „Raju”.

nieważ czytał w ich oczach niemą, lecz wyraźną groźbę: „Ty jesteś największym z pośród nas grzesznikiem, ty dałeś zły przykład, ty siałeś zgorzenie, ty nie masz prawa robić nam wyrzutów, że chcemy być szczęśliwi na swój sposób...” Cesarz czytał wyrzut w oczach członków rodziny i pozwalał na wszystko. Chyba, że skandal był już za głośny, jak w sprawie wybryków homoseksualnych arcyksięcia Ludwika Wiktora, swego najmłodszego brata. Poza tym jednym wypadkiem surowości na wszystko pozwalał, na wszystkie związki małżeńskie morganatyczne, na eskapady arcyksiężeń, na klótnie w rodzinie i intrygi. Opinia publiczna teraz, w początkach wieku XX nie jest ani tak ślepa, ani tak mało poinformowana, ani tak bezkrytyczna, ani tak pokorna, jak przed stu laty, kiedy to można było ukryć, że córka cesarza Franciszka I miała syna z hr. Neippergie jeszcze za życia męża prawowitego, cesarza Napoleona I.

Skinieniem głowy w milczeniu przyznałem mojemu informatorowi słuszność.

— Taki sam wstręt do stanowczych i jasnych decyzji cesarz objawia — mówił dr. Juliusz Szeps — także i w życiu polityczno-państwowem. Bardzo dużo spraw, ważnych dla państwa, możnaby załatwić pożytecznie i trwale, gdyby cesarz zdecydował się i swoją decyzję chciał podtrzymać trwale i stanowczo. Niestety, cesarz zawsze cofa się wobec demagogji przywódców stronnictw. Co

najwyżej i najczęściej posługuje się korupcją. Każde ministrom, by kupowali oponentów za ordery, za tytuły i za urzędy, a nawet za gotówkę. Płynie stąd wielka demoralizacja i upadek charakterów. Państwo bez charakterów, silnych i prawych, nie może się ostać. Habsburgowie zawsze deprawowali charaktery, lecz Franciszek Józef dla tak zwanego „świętego spokoju” doprowadził system deprawacji do zenitu...

II.

Pozostała po zamordowanym arcyksięciu Rudolffie wdowa, arcyksiężna Stefanja, otrzymała tytuł dożywotni „następczyni tronu — wdowy”. Było to szczególne odznaczenie i szczególny dowód łaski cesarskiej. Z tym tytułem związana bowiem była wyższa pensja, aniżeli dla innych arcyksiężeń, prawo utrzymywania osobnego dworu i prawo utrzymywania osobnego naczelnego ochmistrza. Przez to szczególne odznaczenie Franciszek Józef pragnął zaznaczyć wobec całego świata, że boleje nad losem swojej synowej i staje po jej stronie. Równocześnie z pomocą takiego odznaczenia pragnął on zapewnić Stefanji uprzywilejowane stanowisko aż do końca życia bez względu na to, kto po nim będzie piastował koronę cesarską.

Następczyni tronu Stefanja, jednak źle od-

wdzięczyła się ojcu zmarłego męża za wyświadczone dobrodziejstwo. Idąc bowiem za złym przykładem swojej siostry, księżnej Luizy Koburskiej, wnet po śmierci Rudolfa zaczęła urozmaicać sobie stan wdowieństwa miłostkami, dość jawnie uprawianymi. Zmieniała przytem objekty swych zapalów miłosnych dosyć często. Jej kochankowie rekrutowali się przeważnie z korpusu oficerów marynarki wojennej. Trzeba przyznać, że korpus oficerski tej marynarki liczył po większej części w swem gronie ludzi bardzo wykształconych, inteligentnych, przystojnych i posiadających doskonale manjery. Niewątpliwie prawie każdy z nich jako człowiek charakterem, wartością moralną i wykształceniem przewyższał arcyksięcia Rudolfa. Tak kobietę więc można było arcyksiężną Stefanję zrozumieć. Równocześnie jednak okoliczność, że te miłostki były uprawiane niemal jawnie i co kilka miesięcy z kim innym, rzuciła cień na całą rodzinę cesarską i podkopywała mocno jej autorytet w oczach ludności. Co zwyczajny obywatel mógł sobie pomyśleć o moralności dworu, skoro wiedział, że arcyksiężna Stefanja, wdowa po następcy tronu i synowa cesarza, odbywa co parę miesięcy podróż po morzu Śródziemnem yachtem prywatnym, którego komendantem jest za każdym razem inny porucznik austro-węgierskiej marynarki wojennej i że ten porucznik co noc sypia w kajucie arcyksiężnej prawie na oczach całej załogi. Marynarz

i podoficerowie owego yachtu po powrocie do domu na urlop wcale nie taili wobec krewnych i znajomych scen miłosnych, których byli niemal świadkami. Te opowiadania rozechodziły się następnie coraz to szerzej i szerzej, wywołując zgorzelenie i oburzenie.

Równocześnie arcyksiężna Stefanja zaczęła prowadzić bardzo lekkomyślną gospodarke pieniężną. Łącznie ze swoją siostrą Luizą Koburską puściła w obieg mnóstwo weksli, których podpisu potem publicznie się wyrzekła. Sprawa dostała się na szpalty gazet. Stefanja stawała podczas dochodzenia karnego, prowadzonego przez urząd marszałkowski, jako świadek, choć właściwie powinna była figurować jako oskarżona.

Nie na tem koniec skandałów.

W dziesięć lat po zamordowaniu arcyksięcia Rudolfa, Stefanja pewnego dnia zjawiła się na posłuchaniu u cesarza Franciszka Józefa, by mu oświadczyć, że chce wyjść za mąż.

Franciszek Józef z trudem ukrył nieprzyjemne zdziwienie, gdyż jako człowiek bardzo dobrze wychowany w stosunku do kobiet starał się zawsze okazywać galanterję.

— Któż jest wybrańcem szczęśliwym Waszej Cesarskiej Wysokości? — spytał uprzejmie, spodziewając się, że usłyszy nazwisko któregoś z książąt krwi.

Jakiż atoli spotkał go zawód, gdy arcyksiężna wymieniła nazwisko swojego narzeczonego:

— Pragnę poślubić Elemę hr. Lonyay'a.

Tym razem cesarz także zapanował nad sobą, choć powinien był powiedzieć otwarcie arcyksiężnej Stefanji, że nie ma ona ani szczypty respektu dla rodziny, do której weszła przez małżeństwo z arcyksięciem Rudolfem. Co sobie bowiem musi pomyśleć opinja publiczna, gdy się dowiedzie, że wdowa po następcy tronu bez wahania rzuca tytuł arcyksiężnej i wyrzeka się węzłów z rodziną cesarską, by poślubić znacznie od siebie młodszego i prawie zupełnie nieznanego hrabiego węgierskiego, który nie odznaczał się ani urodą, ani wielkimi zdolnościami, ani wybitnym stanowiskiem wśród arystokracji węgierskiej.

Cesarz nie umiał przecież w takim wypadku odmówić, ponieważ bał się, by mu petent nie wytknął własnych jego grzeszków. Jedyłą jego taktyką było działanie na zwłokę. I tym razem postąpił w ten sposób.

— Zgadza się na życzenie Waszej Cesarskiej Wysokości — odparł — ale stawiam jeden warunek. Wasza Cesarska Wysokość raczy za stanowić się w ciągu roku, czy Jej zamiar poślubienia hrabiego Lonyay'a jest nieodwołalny. Jeżeli po upływie roku Wasza Cesarska Wysokość będzie obstawała przy zamiarze zawarcia tego związku małżeńskiego, udzielię jako głowa rodziny potrzebnego pozwolenia.

Arcyksiężna Stefanja była mocno niezadowolona z racji decyzji cesarskiej, choć cesarz okazał

dla jej kaprysu daleko więcej powolności, niż rodzony ojciec, król Leopold II. Ten ostatni bowiem nawet nie chciał slyścić o małżeństwie córki z hr. Lonyay'em, zerwał z nią wszelkie stosunki i wydziedziczył i ją i starszą córkę Luizę Korburską w testamencie.

Po roku, na początku 1900 r., arcyksiężna Stefanja znowu zjawiła się na posłuchaniu u cesarza i oświadczyła mu, że jej zamiar poślubienia hrabiego Lonyay'a jest niezłomny.

— Wasza Cesarska Wysokość wie — spytał monarcha — że Jej małżeństwo może być tylko morganatyczne, że trzeba będzie wyrzec się tytułu arcyksiężnej i przynależności do Domu Cesarskiego...?

— Wiem o tem wszystkim — odparła Stefanja.

— Na miejsce ślubu — oświadczył cesarz — wyznaczam zamek Miramare. Proszę się tam udać. Ślub odbędzie się za miesiąc od dnia, w którym Wasza Cesarska Wysokość zamieszka w Miramare. Hrabia Lonyay otrzyma odemnie tytuł ksiązęcy. Wasza Cesarska Wysokość otrzyma odemnie milion koron rocznej renty z mojej szkatuły prywatnej.

Franciszek Józef był wprawdzie bardzo bogaty, lecz nawet dla tego bogactwa ofiara miliona koron rocznie była dużym wydatkiem. Ale właśnie w ten sposób chciał on pokazać całemu światu, że nie żywi do Stefanji pretensji za tak wielki brak

pietyzmu, jakim Lylo powtórne zamażpójście...

— Ale jeszcze jedno małe zastrzeżenie — dodał cesarz, gdy synowa była już u progu jego gabinetu. — Gdy Wasza Cesarska Mość raz zamieszka w Miramare, ślub już musi się odbyć. O zmianie postanowienia nie będzie mogło być mowy.

Miramare jest to zamek położony pod Trjeste. Wybudował go brat młodszy Franciszka Józefa, arcyksiążę Maksymiljan, późniejszy cesarz Meksykański. Miejsce pod budowę wybrane przesłicznie. Zamek stoi na wysokiej skale po prawej stronie od miasta, w punkcie, w którym zatoka trjesteńska styka się z otwartym morzem. Stylem zamek przypomina średniowieczne kastele weneckie. Od zamku aż po sam brzeg morski biegnie ogród tarasami, zniżając się do poziomu morza. Sam brzeg jest zmieniony w bulwar, oddzielony od wody kamienną balustradą.

Od strony lądu Miramare jest otoczone stromymi wzgórzami. Ani z tych wzgórz do zamku, ani z zamku na te wzgórza niema przystępu. Tylko jedna droga lądowa wzdłuż brzegu prowadzi do miasta. Z chwilą, gdy tę drogę obsadzi kordon policyjny lub wojskowy, wszelka komunikacja między miastem a Miramare jest przecięta.

Stefanja bawiła już w Miramare około dwóch tygodni, gdy nagle pewnego wieczoru tej kapryśnej kobiecie przyszło na myśl, że może i nie warto dla małżeństwa z hr. Lonyay'em porzucić

stanowiska w rodzinie cesarskiej i wszystkich korzyści materialnych i towarzyskich, związanych z tem stanowiskiem. Cóż z tego, że cesarz przyrzekł nadać hr. Lonyay'owi godność książęcą. Nawet jako księżna będzie musiała ustępować w randze rozmaitym innym księżnom węgierskim z tak starych rodów, jak np. dom ksiąząt Esterhazy.

Im dłużej myślała nad oczekującym ją za dwa tygodnie ślubem, tem bardziej nabierała przekonania, że zamiar powtórnego zamażpójścia jest wierutnym głupstwem. Zdjął ją lęk. A potem przyszło nagle postanowienie, by ucieczką z Miramare ratować się przed nieuniknioną utratą dotychczasowego stanowiska.

Natychmiast wtajemniczyła w plan ucieczki zaufaną damę dworu, z jej pomocą spakowała walizkę, zabrała klejnoty i postanowiła piechotą udać się do Trjestu, by z tamtejszego dworca nocnym pociągim pośpiesznym udać się do Wiednia i zjawić się w Burgu cesarskim. Jej apartament w Burgu jeszcze nie był zlikwidowany. Nazajutrz zatem mogła znowu zająć przynależne jej stanowisko i korzystać z przywilejów następczyni tronu — wdowy.

Obie panie w skromnych sukniach, z twarzami przysłoniętymi gęstą woalką, wyszły z bramy zamku. Pozornie bram zamku nikt nie pilnował. Droga do Trjestu stała — jak się im zdawało — otworem.

Nagle, gdy już były o jakieś sto kroków od bramy zamkowej, zastąpił im drogę wachmistrz żandarmerji i salutując, zapytał grzecznie:

— Łaskawe panie darują, skąd i dokąd prowadzi droga?

Stefanja milczała, gdyż bała się, że wachmistrz ją pozna. Natomiast dama dworu, pewna swojego incognita, odpowiedziała:

— Idziemy z zamku Miramare do miasta.

— Łaskawe panie darują — powtórzył żandarm z jeszcze większym ugrzecznieniem — ale przejście do miasta jest zamknięte.

Wtedy arcyksiężna Stefanja zabrawszy głos, powiedziała z wielką pewnością siebie:

— Dla mnie droga do miasta musi być otwarta.

Żandarm udał, że nie poznaje, z kim ma do czynienia i mówił dalej:

— Z rozkazu Najjaśniejszego Pana droga z Miramare do Trjestu jest dla wszystkich zamknięta.

— Nawet gdybym była następczynią tronu — wdową?

— Tak jest — potwierdził żandarm, wciąż grzecznie, ale jeszcze bardziej stanowczo — nawet dla Jej Cesarskiej Wysokości następczyni tronu — wdowy droga do Trjestu z rozkazu Najjaśniejszego Pana jest zamknięta.

Arcyksiężna z głuchym jękiem zawróciła do zamku. Spostrzegła, że tym razem wpadła w pu-

łapkę. Cesarz, napozór bardzo uprzejmy i słodki, tym razem pokazał — jak to mówią — zęby. Skoro synowa postanowiła wyrzec się pamięci jego syna i wyrzec się rodziny cesarskiej i skoro wiadomość o tem obiegła już wszystkie dzienniki kuli ziemskiej, cesarz postanowił nieodwołalnie tę sprawę doprowadzić do końca, a mianowicie pozbyć się kapryśnej synowej, niby to dogadzając jej uczuciom.

W dwa tygodnie później, dnia 20 marca 1900 r. w kaplicy zamku Miramare następczyni tronu — wdowa Stefanja została małżonką hr. Lonyay'a. Cesarz nadesłał depezę gratulacyjną i wspaniałą bukiet, a ze swej szkatuły prywatnej kazał zapłacić wszystkie długi eks-synowej.

Te długi płacił jeszcze niejednokrotnie aż do swojej śmierci w 1916 r. Ile razy bowiem milion koron, wypłacany co rok, nie starczył na opędzenie kosztownych wydatków księżnej Lonyay, ta ostatnia przybywała do Wiednia, zjawiała się na prywatnem posłuchaniu u cesarza, cesarz zaś z dobroduszną galanterją pokrywał długi bylej synowej.

III.

Kapryśna i kochliwa arcyksiężna Stefanja była ideałem cnót stateczności i stałości w porównaniu ze swoją córką.

Z małżeństwa następcy tronu Rudolfa i Stea-

fanji przyszło na świat tylko jedno dziecko: córka urodzona 2 września 1883 r. Na pamiątkę babki dano jej na chrzcie św. imię Elżbiety.

O tę biedną dziewczynkę nikt nie dbał. Ojciec pił i uganiał się za kobietami. Matka za życia ojca może jeszcze nie miewała kochanków, ale po śmierci Rudolfa — jak pisaliśmy powyżej — rzuciła się w odmęt zabaw i nie myślała nawet na chwilę, że ma córkę, której wychowaniem powinna zająć się bardzo starannie, aby przynajmniej częściowo wytępić złe skłonności, niewątpliwie oddziedziczone po ojcu.

Nic podobnego: mała Elżbieta pędziła życie pod kierunkiem i opieką ochmistrzyni, pozbawiona wszelkiego ciepła rodzinnego, ponieważ również i dziadek nie chciał o niej pamiętać, a babka, cesarzowa Elżbieta, została zbita w Genewie przez Lucheniego we wrześniu 1898 r., a więc wtedy, gdy dorastająca dziewczynka potrzebowała jak najbardziej trafnego i umiejącego odczuć jej duszę kierownictwa.

Po ukończeniu osiemnastego roku życia Elżbietę uznano za pełnoletnią w myśl statutu familijnego Habsburgów. Sformowano dla niej osobny dwór z osobną ochmistrzynią na czele i urządzono osobny apartament w Burgu. W najbliższym karnawale za pozwoleniem cesarza, arcyksiężniczka Elżbieta otrzymała prawo urządzania u siebie raz na tydzień tańczących podwieczorków. Na danserów zapraszano młodych arcy-

książąt i kilkunastu wybitnych arystokratów austro-niemieckich i węgierskich, przeważnie piastujących stopnie podporuczników i poruczników kawalerji.

Ceremonjał, obowiązujący na wszystkich dworach europejskich, postanawia, że na zabawach tanecznych dworskich księżniczki krwi same wybierają sobie danserów. Księżniczka wzywa do siebie szambelana, pełniącego tego dnia służbę, i wskazuje wachlarzem młodzieńca, z którym chce tańczyć. Szambelan podchodzi do wybranego, oświadcza mu, że ta a ta Królewska albo Cesarzowska Wysokość raczyła go desygnować na swego dansera, podprowadza go do księżniczki i prezentuje jej.

Zaraz na pierwszym podwieczorku, urządzonym przez arcyksiężniczkę Elżbietę, zwróciło ogólną uwagę, że młoda gospodyni domu, wbrew ogólnie przyjętemu zwyczajom, ciągle wybierała do tańca jednego i tego samego dansera, porucznika dragonów Ottona, księcia Windischgraetza. Windischgraetzowie należą do najstarszych rodów arystokracji austro-niemieckiej. Mieli oni dobra w Czechach, w Styrii i w Krainie. Jeden z nich, feldmarszałek Windischgraetz zdobył na rewolucjonistach w 1848 r. zbuntowany Wiedeń i sprawił krwawą rzeź wśród ludności. Skutkiem tego uchodził za zbacwcę dynastji.

Otto książę Windischgraetz należał do najuboższej linii tej rodziny. Dzięki tytułowi by-

wał u dworu, ale musiał żyć bardzo skromnie, ponieważ majątek prywatny rodziny nie pozwalał na żadne zbytki. Dlatego Elżbieta upodobala sobie tego młodego arystokratę, trudno zrozumieć. Przedewszystkiem Windischgraetz był tak samo jasnym blondynem, jak i Elżbieta. Rysy miał regularne i twarz przystojną, lecz nie było w jego twarzy nic uderzającego. Co najwyżej mógł podobać się Elżbiecie z postawy, był bowiem słusznego wzrostu, smukły, zgrabny, elegancki w ruchach i ładnie tańczył. Elżbieta była niższego wzrostu, niż Otto, nos miała trochę duży i śpiczasty, prawdziwy nos koburski, który oddziedziczyła po matce. Po matce też oddziedziczyła twarz przydługą. Brzydką nie można było jej nazwać, ponieważ w 1902 r. zdobyła ją krasa młodości.

W tydzień później odbył się drugi wieczorek tańczący w apartamentach arcyksiężniczki Elżbiety. I znowu młodzianka gospodyni tańczyła przeważnie tylko z ks. Ottonem Windischgraetzem. Zwróciło to wprawdzie ogólną uwagę, lecz nikt nie przywiązywał do tego faktu głębszego znaczenia.

Wtem trzeciego dnia po tej drugiej zabawie tańczej ks. Otto Windischgraetz odebrał miejską pocztą list, napisany własnoręcznie przez Elżbietę i przez nią podpisany, nie tylko imieniem, ale i pełnym tytułem, list oświadczający adresatowi, że autorka listu namiętnie go kocha.

Ks. Otto Windischgraetz struchlał po przeczytaniu tego listu. Zaczął sobie uprzytamniać całe swoje zachowanie podczas obu zabaw tanecznych i stwierdził wobec siebie samego z wszelką pewnością, że ani słowem, ani spojrzeniem nie zachęcał młodej arcyksiężniczki do tego rodzaju listownych wyznań miłosnych.

Następnie zastanowił się bardzo poważnie nad sytuacją, wywołaną tym listem. Arcyksiężniczka Elżbieta była nie tylko arcyksiężniczką, lecz równocześnie była wnuczką cesarza. Już przez to samo sytuacja stawała się bardzo drażliwa. Cesarz mógł w całej pełni dać odczuć swój gniew porucznikowi dragonów, przenieść go z Wiednia do garnizonu na prowincję, albo pod pierwszym lepszym pozorem wytoczyć mu śledztwo dyscyplinarne i wypędzić z wojska. Długo więc ks. Otto Windischgraetz zastanawiał się, co powinien uczynić. Wreszcie powziął decyzję. Przywdział mundur galowy, pojechał do Burgu, zameldował się u ochmistrzyni arcyksiężniczki i oddając jej list nieszczęsny, wyjaśnił, że ani słowem, ani spojrzeniem nie dał powodu arcyksiężniczce do napisania tego rodzaju listu.

Zadowolony z siebie i znacznie już spokojniejszy, powrócił do domu.

Jakież jednak ogarnęło go zdziwienie, a nawet przerażenie, gdy na trzeci dzień znowu pocztą miejską otrzymał od „Elżbiety, arcyksiężnej austriackiej” — jak się podpisała — list pelen naj-

ostrzejszych wyrzutów. Autorka pomimo swojego młodziutkiego wieku z wielką energją oświadczyła Ottonowi, że oddając jej pierwszy list ochmistrzyni, dopuścił się czynu niegodnego gentlemana. Ale ona gotowa mu przebaczyć, ponieważ go kocha i właśnie korzysta z tej sposobności, aby mu jeszcze raz przesłać wyrazy jaknajgorętszej miłości.

Tym razem książę Otto Windischgraetz już nie namyślał się długo, lecz znowu przywdział mundur galowy, pobiegł do Burgu cesarskiego, zameldował się u ochmistrzyni arcyksiężniczki i oddał jej drugi z kolei list, przyczem zapewnił, że w najbliższym czasie postara się o translokację do jakiegoś bardzo odległego garnizonu. Chce bowiem w ten sposób dowieść, że w całej tej sprawie niczem nie zawinił.

Po paru dniach przecież wstrząsnął nim zimny dreszcz prawdziwej trwogi. Oto w drzwiach jego prywatnego mieszkania zjawił się żandarm nadworny z Burgu i oddał mu w wielkiej kopercie list z kancelarji gabinetowej cesarza Franciszka Józefa. W tym liście kancelarja gabinetowa zawiadamiła Jaśnie Oświeconego Księcia Ottona Windischgraetza, c. i k. porucznika dragonów, że Najjaśniejszy Pan cesarz Franciszek Józef nakazuje mu się stawić w Burgu tego a tego dnia o tej i o tej godzinie na specjalnem posłuchaniu.

Po przeczytaniu tego listu książę Otto popadł w prawdziwą rozpacz. Był przekonany, że cesarz

uważa go za winowajcę w sprawie z arcyksiężniczką Elżbietą i w podwójnym charakterze szefa dynastji i dziadka co najmniej zmyje mu pozrządnie głowę. Przyrzekał sobie, że będzie się starał udowodnić swoją niewinność, ale z góry wątpił, czy zagniewany starzec pozwoli mu przyjść do słowa i usprawiedliwić się. Prawdopodobnie audjencja będzie miała taki przebieg, że monarcha palnie mu kazanie, a następnie zakomenderuje po wojskowemu: „lewo w tył“ i każe mu się wynieść ze swego gabinetu.

Posłuchanie miało jednak przebieg zgoła inny, niż Otto ks. Windischgraetz przypuszczał.

Cesarz na jego meldunek odpowiedział bardzo łaskawym uśmiechem, a następnie rzekł:

— Kochany książę Ottonie Windischgraetz, jako dziadek pani arcyksiężnej Elżbiety Austriackiej mam zaszczyt prosić pana, żebyś się zgodził zostać jej małżonkiem. Jest pan jej pierwszą i wielką miłością. Nie chcę, by to nieszczęśliwe dziecko robiło mi wyrzuty, że zniszczyłem jej szczęście. Sądzę, że i pan nie weźmie na siebie tej odpowiedzialności. Może pan jej nie kocha obecnie, ale jej wielka miłość dla pana obudzi i w pańskim sercu gorące uczucie. Jestem przekonany, że będziecie oboje bardzo szczęśliwi. Jako dziadek daję wam z góry błogosławieństwo. Moja wnuczka otrzyma nie tylko cały majątek, jaki się jej należy po ojcu, ale również i ja dam

jej duży posąg i znaczną dotację roczną z mojego prywatnego majątku.

Książę Otto Windischgraetz, wyprostowany na baczność, słuchał tych słów cesarskich w głębokim skupieniu. Kto inny na jego miejscu byłby bez wahania przyjął propozycję cesarza. Dla prawie uboższego księcia równało się to wygraniu wielkiego losu na loterii. On jednak miał ważne powody osobiste, by się wahać, i zwlekać z udzieleniem twierdzącej odpowiedzi.

Cesarz fałszywie wyłomaczył sobie jego milczenie. Wziął je za objaw radosnego osłupienia. Mówił więc dalej:

— Moja wnuczka była u mnie przed trzema dniami z prośbą, abym się nie sprzeciwiał jej małżeństwu z panem. Opowiedziała mi też, że sama wystąpiła pod pańskim adresem z inicjatywą. Mówiła mi, że pisząc pierwsza do pana list, postąpiła tak, jak podczas inwitacji do tańca, kiedy to księżniczka krwi wybiera sobie dansera. Skarżyła się też, że pan dwukrotnie oddał jej listy ochmistrzyni dworu. Rozumiem pańskie intencje w tej mierze i bardzo je pochwalam, ale w tym wypadku stoję po stronie mojej wnuczki i bardzo sobie życzę — te słowa wyrzekł cesarz z wielkim naciskiem — aby pan ją poślubił.

Otto Windischgraetz nie śmiał się opierać cesarzowi. Cała jego rodzina od wieków wyrastała w uczuciach służbistej karności w stosunku do dynastji Habsburgów. Nadto zdawał sobie spra-

wę, że stoi wobec naczelnego wodza sił zbrojnych. A gdy naczelnny wódz powie oficerowi, że życzy sobie bardzo tego lub owego, to takie życzenie jest rozkazem.

Od paru lat Otto ks. Windischgraetz był po cichu zaręczony z pewną hrabianką austro-niemiecką. Narzeczeni bardzo się kochali, ale oboje byli za ubodzy, by zawrzeć związek małżeński. Na kaucję oficerską możeby jeszcze i starczyło, lecz o urządzeniu i prowadzeniu domu nie można było myśleć. Młodzi czekali zatem, aż ks. Otto Windischgraetz oddziedziczy po jednym z krewnych, będącym już w podeszłym wieku, znaczniejszy spadek. W drugiej połowie audjencji przecież książę zrozumiał, że trzeba będzie pożegnać się z projektem poślubienia ukochanej hrabianki. Już sama okliczność, że cesarz bez względu na swoje stanowisko zdecydował się na odegranie roli swata swojej wnuczki, powiedziała księciu, jak dalece wszelki opór przeciwko woli monarchy jest w tym wypadku wykluczony. Gdyby książę udzielił odpowiedzi odmownej, obraziłby nie tylko cesarza, i to obraziłby śmiertelnie, ale miałby przeciwko sobie całą swoją rodzinę. Nikt z jego krewnych bliższych i dalszych nie zrozumiałby, jak można było odrzucić rękę arcyksiężniczki, i to w dodatku wnuczki cesarskiej, jak można było wyrzekać się olbrzymiej fortuny, dzięki której najuboższa linja Windischgraetzów

wyroślaby odrazu na dom prawdziwie magnacki, spokrewniony z Habsburgami...

Wszystkie te myśli błyskawicznie zawirowały pod czaszką księcia. Wreszcie przyszedł do wniosku, że trzeba wyrzec się szczęścia osobistego, pogodzić się z losem i przyjąć ofiarowaną mu przez samego cesarza rękę arcyksiężniczki.

Wyprostował się więc na baczność jeszcze bardziej, niż do tej pory, i zameldował:

— Wasza Cesarska Mość, na podstawie łaskawie mi zakomunikowanego Najwyższego pozwolenia mam zaszczyt prosić o rękę Jej Cesarskiej Wysokości Pani Arcyksiężnej Elżbiety Austriackiej.

Dnia 23-go Stycznia 1902 roku po uprzednim zrzeczeniu się tytułu i praw do korony (taki akt prawny nazywał się renuncjacja) Elżbieta zaślubiła swojego ukochanego księcia. Lecz małżeństwo nie było szczęśliwe, jakkolwiek kolejno troje dzieci przyszło na świat. Już po kilku latach zaczęły nadchodzić z Pragi Czeskiej, gdzie księstwo Windischgraetz zamieszkałi, wiadomości o skandalicznych scenach i wręcz publicznych skandalach między małżonkami. Księżna zarzucała mężowi, że utrzymywał stosunki miłosne z jakąś znaną aktorką w owym mieście. Przyszło nawet do bójek i publicznego wymyślenia. Niektóre z gazet, mających dla dworu niezbyt dużo respektu, podały opisy tych zajść.

Potem przyszło do procesów majątkowych i separacyjnych, aż wreszcie po śmierci Franciszka Józefa I małżonkowie rozeszli się całkowicie, ponieważ książe Otto udowodnił żonie, że nie prowadziła się o wiele lepiej, niż zawodowe kokoty. Podobnie, jak matka, arcyksiężna Stefania, lubowała się w oficerach marynarki wojennej, a po jednym z nich, komendancie austro-węgierskiego statku podwodnego, gdy zginął, ostentacyjnie nosiła żałobę i publicznie twierdziła, że to był jej mąż właściwy. Równocześnie jednak żyła z innymi.

To też sądy w latach 1924 — 1925 wcale nie zawahały się udzielić księciu Ottonowi Windischgraetzowi rozwodu z winy małżonki i jemu powierzyć dalsze wychowanie dzieci, ponieważ matka swoim zachowaniem się wcale nie dawała gwarancji, że zdoła nadać ich wychowaniu kierunek moralny i uczciwy.

Elżbieta w pogoni za „silnymi mężczyznami“ staczała się coraz niżej. W pierwszych miesiącach 1926 roku poślubiła pod Wiedniem zwykłego chłopca, oberżystę, okaz rosłego samca, mogącego zadowolnić jej porywy miłosne.

Zanim atoli potępi się całkowicie Elżbietę, trzeba pamiętać, z jakiej to zwyrodniałej pochodziła rodziny i jaką to krew zepsuta miała w swoich żyłach. Złośliwym, ale całkowicie prawdziwym był dowcip, który koło 1901 roku krążył po bruku wiedeńskim:

— Mamy dla pana dobrą partję. Wprawdzie ojca panny, zupełnie pijanego, w nocnej bójce flaszką od szampana zabito na śmierć. Matka ma co kwartał innego oficera marynarki i fałszowała weksle. Dziadek żyje na wiarę z cudzą żoną. Babka, dopóki nie zwarjowała, miewała także kochanków, głównie wśród swoich lektorów. Potem zasztyletowano ją na ulicy. Dziadka stryjecznego (arcyksięcia Maksymiljana) jak bandytę zastrzelono, ponieważ chciał ukraść koronę. Tego dziadka żona ma bżika od 40 lat. Drugi dziadek stryjeczny (arcyksiążę Ludwik Wiktor) jako osławiony w całym Wiedniu homoseksualista powinien dawno siedzieć w kryminale. Jeden stryj stryjeczny (arcyksiążę Franciszek Ferdynand) ma żenić się z pokojówką (hrabianką Chotek), drugiemu stryjowi (arcyksiążę Otto) nos odpada z powodu syfilisu. Inny kuzyn (stary arcyksiążę Rajner) zabrał dzieciom swego kuzyna (arcyksiążę Wilhelm) cały olbrzymi majątek, korzystając z błędnie zawartego ślubu kuzyna. Skutkiem tego najstarszy syn tego niezbyt formalnie zawartego małżeństwa, praprawnuk cesarzowej Marji Teresy, jest teraz kelnerem w jednej z kawiarni bu-dapeszteńskich. Tak, tak, rodzinka jest trochę „plamista“, lecz partja dobra, bo posag bardzo duży.

Ten złośliwy, lecz na prawdzie oparty dowcip o rodzinie Habsburgów nie wyczerpuje zresztą wszystkich skandalów, urządzanych co chwila

przez jej członków. Zrozumiałe zatem, że powaga dynastji malała z każdym rokiem.

IV.

Po zabiciu arcyksięcia Rudolfa pamiętnej nocy styczniowej 1889 roku w Meyerlingu, cesarz pozostał bez następcy tronu w prostej linii, ponieważ w Austrii prawo następstwa tronu nie przysługiwało kobietom.

Korona zatem w razie śmierci cesarza miała przejść na młodszego, trzeciego z kolei brata cesarskiego, Karola Ludwika. Ponieważ atoli ten arcyksiążę był młodszy od cesarza zaledwie o trzy lata, było wątpliwem, czy zechce brać koronę nawet gdyby i przeżył Franciszka Józefa. Milcząco odrazu zgadzano się na to, by arcyksiążę Karol Ludwik abdykował na korzyść swego najstarszego syna, Franciszka Ferdynanda.

Arcyksiążę Franciszek Ferdynand i jego dwaj młodsi bracia, Otto i Ferdynand Karol urodzili się z księżniczki, należącej do dynastji Burbonów Neapolitańskich. Była ona córką osławionego „króla-bomby“, Ferdynanda II. Przewisko swoje otrzymał on dlatego, że złamał przysięgę i kazał bombami obrzucić lud, choć poprzednio przyrzekł amnestję za wszelkie ruchy rewolucyjne. Dynastja była fizycznie, umysłowo i moralnie zwyrodniała w stopniu jeszcze wyższym, niż Burbono-

wie hiszpańscy. Członkom tej dynastji wydawało się, że są istotnie wysłańcami Boga na ziemi. Jako przedstawiciele Pana Boga pomiatali parlamentaryzmem, wolą ludu, oświatą, postępem technicznym. Wierzyli tylko w gwałt fizyczny i we własną samowolę. Na łądzie stałym i na wyspach Sycylii trzymali pulki szwajcarskie. Szubienice i przepelnione więzienia były głównymi narzędziami systemu rządowego.

Wszystkie wady Burbonów Sycylijskich odrodziły się z fotograficzną wiernością w najstarszym synu Karola Ludwika, w arcyksięciu Franciszku Ferdynandzie.

Był brutalnym, jak jego dziadek, osławiony „król-bomba”. Pogardzał ludźmi i uważał się za coś nieskończenie od nich wyższego i lepszego. A gdy po zamordowaniu arcyksięcia Rudolfa stało się prawdopodobnem, że to on z czasem zasiądzie na tronie austriackim po śmierci Franciszka Józefa, uwierzył w to, że jest posłannikiem samego Pana Boga i że jego obowiązkiem będzie dźwigać ludy na wyższy poziom wiary katolickiej. Był bowiem fanatykiem katolicyzmu, ale tylko dlatego, że obiecywał sobie zmienić katolicyzm w rządzie absolutyzmu monarchicznego. Fanatycznie nienawidził parlamentaryzm i demokrację. Uważając się za wybrańca Bożego, pragnął wprowadzić taką formę rządu, aby wyłącznie jego wola była źródłem wszelkiego prawa zarówno w Austrii, jak i na Węgrzech. Narodu węgierskiego

formalnie nienawidził i wcale nie tail, że z chwilą wstąpienia na tron, zniszcie wszystkie odrębności państwowe węgierskie. Tak samo nie lubił Polaków, ponieważ wstrętnym mu był i patriotyzm polski, i dążenie do niepodległości, i polska kultura polityczna, odrzucająca despotyzm, czy to w zabarwieniu neapolitańskim, czy to w zabarwieniu moskiewskim.

Burbonowie neapolitańscy uginali się nietylko pod ciężarem zwyrodnienia fizycznego, ale i pod ciężarem zwyrodnienia umysłowego. Franciszek Ferdynand w obu dziedzinach był ich nieodrodnym potomkiem. Za młodu groziły mu suchoty. Była chwila — miał wtedy około trzydziestki — że ta choroba piersiowa rozwijała się coraz groźniej. Tylko bardzo staranna kuracja, wstrzemięzliwość tryb życia i długi pobyt w ciepłym klimacie zdołały powstrzymać dalsze postępy tej groźnej choroby. Mimo to jednak suchoty odbiły się na psychice arcyksięcia. Był on zgrzyliwym i złośliwym, jak wszyscy suchotnicy. Te dwie właściwości charakteru potęgowały wrodzoną mu popędliwość gniewną. Wybuchał często niepohamowanym gniewem, przyczem chował długo urazę i był nadzwyczajnie mściwy.

Z tą popędliwością i mściwością łączyła się właściwa Burbonom cheiwość. Zwłaszcza od czasu, gdy Franciszek ożenił się morganatycznie, owa cheiwość przybrała formy wręcz karygodne.

Dzisiaj nie ulega wątpliwości, że Franciszek

Ferdynand właśnie pod wpływem swojej żony — o czem będzie niżej — i za sprawą swoich wad należał do współautorów Wojny Światowej, której nawet początku nie miał oglądać. Trudno sobie wyobrazić, jak strasznymi byłyby następstwa jego rządów, gdyby Opatrzność pozwoliła mu wstąpić na tron, skoro już jako następca tronu wywołał olbrzymie zamieszania w państwie i wreszcie Wojnę Światową.

Po stłumieniu postępów choroby arcyksiążę Franciszek Ferdynand prezentował się dosyć okazale. Był wzrostu słusznego, w ramionach szeroki, twarzy niebrzydkiej, zdobnej w wąs ciemny, włosy miał dosyć gęste, ostrzyżone w szczotkę. Tylko cera matowa zdradzała niewyleczone suchoty, aczkolwiek z drugiej strony można ją było tłómaczyć przymieszką krwi południowej, oddziedziczonej po matce.

Okolo roku 1899 z kół dworskich zaczęły rozchodzić się pogłoski, że arcyksiążę Franciszek Ferdynand zamierza wstąpić w związki małżeńskie. Jeździł on bowiem dosyć często z Wiednia do pobliskiego Preszburga, starej stolicy węgierskiej, gdzie w dawnym pałacu książąt Grassalovich'ów rezydował od szeregu lat arcyksiążę Fryderyk wraz z rodziną. Był to ojciec szczęściu córek, niezbyt dorodnych coprawda, lecz posiadających bardzo zapobiegliwą mamę, krzątającą się umiejętnie okolo wyszukiwania sobie zięciów. Przypuszczano więc powszechnie, że arcyksiążę

Franciszek Ferdynand weźmie za małżonkę jedną z owej szóstki.

Nikt nie domyślał się prawdziwej przyczyny częstych wizyt Franciszka Ferdynanda w Preszburgu.

Pewnego dnia zjawił się on na posłuchaniu u swego stryja, cesarza Franciszka Józefa, i oświadczył, że kocha hrabiankę Zofję Chotek, damę dworu arcyksiężnej Izabelli, i prosi monarchę jako głowę domu o pozwolenie na poślubienie jej.

Cesarz — niesłychanie zdziwiony — zapytał — A więc Wasza Cesarska Wysokość chce dla tej miłości wyrzec się prawa do tronu.

— Wcale nie, Najjaśniejszy Panie, — brzmiała pewna siebie odpowiedź arcyksięcia.

— Przecież hrabianka Zofja Chotek nie może być cesarzową — zauważył cesarz, jeszcze bardziej zdumiony.

— Wiem o tem, lecz moje małżeństwo morganatyczne w niczem nie przeszkadza, abym po najdłuższem życiu Najjaśniejszego Pana wstąpił na tron. Moje dzieci, splodzone z tego morganatycznego związku, nie będą miały praw do korony, i nie będą członkami rodziny panującej. Mimo to ja mogę panować, a następcą tronu po mnie będzie najbliższy arcyksiążę.

Cesarz kategorycznie odmówił prośbie arcyksięcia. Od tej chwili arcyksiążę zarzucał cesarza

memorjalami prawnymi, których autorzy, sławni prawnicy i wybitni znawcy prawa państwowego udawadniali, że młżeństwo morganatyczne członka rodziny panującej nie może jego samego pozbawić prawa do korony. Kilkakrotnie arcyksiążę osobiście wręczał monarsze memorjały podobnej treści i ustnie ponawiał swą prośbę. Cesarz jednak stale odmawiał.

Pokazało się, że zaraz na pierwszej wizycie, którą Franciszek Ferdynand złożył w Preszburgu celem przyjrzenia się szóstce arcyksiężniczek, kandydatek do stanu małżeńskiego, zwróciła jego uwagę dama dworu arcyksiężnej, hrabianka Zofja Chotek. Była to postawna panna, równa wzrostem arcyksięciu, rozrosła w ramionach i w biodrach, o wydatnej piersi, o twarzy przystojnej, ale mającej w sobie mało wdzięku kobiecego, a dużo stanoowości i pychy. Rodzina Chotków należała do najstarszych rodów arystokracji czeskiej i nigdy całkowicie zniemczona nie była. Każdy z Chotków mówił biegle po czesku i uważał się raczej za Czecha, niż za Niemca.

Z biegiem lat Chotkowie majątkowo bardzo podupadli. Ojciec hrabianki Zofji stracił resztę majątku w służbie dyplomatycznej. Ona sama musiała iść w służbę do arcyksiężnej Izabelli. Stanowisko damy dworu u dość niskiej rangą arcyksiężnej Izabelli było bowiem formalną służbą, a nie odznaczeniem dworskiem. Jej obowiązki

przypominały coś w rodzaju damy do towarzysztwa i coś w rodzaju guwernantki.

Oczywista, prośba arcyksięcia pod adresem cesarza nie została tajemnicą. W przeciągu 24 godzin po pierwszej audjencji i dwór, i Wiedeń, i wszyscy arcyksiężęta na prowincji wiedzieli, z kim Franciszek Ferdynand chce się żenić. Następstwem bezpośrednim rozgłoszenia tej nowiny była natychmiastowa dymisja, której arcyksiężna Izabella udzieliła swojej damie dworu. Musiała ona opuścić Preszburg najbliższym pościągami, odchodzącym do Wiednia. Arcyksiężna, osoba bardzo energiczna i nie cofająca się przed intrygą, a dotknięta w swojej miłości matczynej i zawiedziona w swoich nadziejach, poruszyła wszystkie sprężyny na dworze, by nie dopuścić do małżeństwa Franciszka Ferdynanda z Chotkówną.

Nie liczyła się przecież z jednym faktem, a mianowicie z niebывałym uporem Franciszka Ferdynanda. Do tego uporu przyłączała się prawdziwa miłość, którą żywił on dla hrabianki. Owa miłość rozwinęła się na podkładzie patologicznym.

Pewnego dnia, stanąwszy znowu wobec cesarza, Franciszek Ferdynand odezwał się w te słowa:

— Najjaśniejszy Panie i najukochańszy panie stryju! Długo wahałem się, czy mam odślonić naj-

tajniejszą przyczynę mojej wielkiej i jedynej miłości do hrabianki Zofji Chotek. Myślałem, że Najjaśniejszy Pan, znając moje do Jego osoby przywiązanie, zrozumie bez podawania bliższych szczegółów, że tylko wyjątkowa ważna okoliczność mogła mię skłonić do tego, iż szukam szczęścia małżeńskiego poza sferą dam równych mi dynastycznym pochodzeniem i że nie chcąc się zrzekać praw do tronu, równocześnie dążę do zawarcia w tym wypadku związku morganatycznego. Najjaśniejszy Pan! Wiadomo Mu, że w latach wczesnej młodości przechodziłem chorobę piersiową. Dzięki umiejętnej kuracji lekarskiej i bardzo powściągliwemu trybowi życia zdołałem zapanować nad dalszym postępem tej choroby. Ale został mi defekt bardzo bolesny dla mężczyzny. Nie odczuwałem nigdy pociągu do kobiet. Sądziłem, że rozkosze życia rodzinnego pozostaną dla mnie raz na zawsze zakazanym owocem. Tymczasem od pierwszego wejrzenia, gdy poznałem hrabiankę Zofję Chotek, poczułem się mężczyzną. Myślałem, że to przypadek. Ale w następstwie przy każdym widzeniu hrabianki otrzymałem nowy dowód, że tylko w jej obecności czuję się mężczyzną. Sądzę, że Najjaśniejszy Pan jako mój stryj ukochany, nie zechce odmawiać mi możności zakosztowania rozkoszy życia rodzinnego. Byłoby to skazanie mnie na życie samotne wbrew temu prawu przyrodzonemu, które przysługuje tutaj na ziemi każdemu człowiekowi.

Franciszek Józef wysłuchał z wielkiem zdziwieniem, a raczej ze zdumieniem tego wyznania arcyksięcia. Przekonał się, że ma przed sobą okaz patologiczny psychopaty, którego impotencję przerywa tylko widok zawsze jednej i tej samej kobiety. A ponieważ dla spraw miłosnych miał zawsze wiele zrozumienia i dużą słabość, przeto po takim wyznaniu arcyksięcia już nie chciał opierać się dłużej i udzielił swojego przyzwolenia na ten związek małżeński bez domagania się, by arcyksiążę zrezygnował z następstwa tronu. Nie ulega wątpliwości, że ze stańowiska ludzkiego cesarz postąpił dobrze i trafnie. Lecz z drugiej strony jest rzeczą pewną, że daniem takiego zezwolenia wyrządził wielką krzywdę dynastji i państwu. Z góry powinien był przewidzieć, że arcyksiążę, namiętnie rozmiłowany w żonie, raz zostawszy cesarzem, nie uszanuje żadnych przyrzeczeń i przysiąg. Przed ślubem i za życia cesarza podpisał akt, mocą którego dla żony i dla przyszłych dzieci wyrzeczł się wszelkich praw dynastycznych, to znaczy, że zgodzi się, by jego żona nie była cesarzową, a dzieci z tego małżeństwa nie należały do rodziny cesarskiej i nie nosiły tytułu arcyksiążąt. Któż jednak przeszkodzi Franciszkowi Ferdynandowi, gdy raz zostanie cesarzem, uznać akt renuncjacji za nieważny. Papież z pewnością pobłogosławi takiemu odwołaniu przysięgi, gdyż Franciszek Ferdynand i hrabianka Chotek służyli jako najgorliwsi katolicy. Obywa-

telom państwa będzie wszystko jedno, czy następcą tronu będzie któryś z arcyksiążąt, czy syn cesarza z morganatycznego małżeństwa.

Sprawę wikłało nadto postanowienie prawa państwowego węgierskiego. Nie uznawało ono małżeństw morganatycznych. Każda prawnie zaślubiona małżonka króla Węgier była królową węgierską. Hrabianka Chotek zatem po ślubie z Franciszkiem Ferdynandem stałaby się królową Węgier z chwilą, gdy jej mąż wstąpiłby na tron węgierski. Jakże pogodzić to, że królowa Węgier nie byłaby cesarzową Austrii z faktem unji Węgier z Austrią? Szerokie masy ludności w Austrii nie zrozumiałyby nigdy tego faktu, że żona cesarza nie jest cesarzową, a najstarszy syn cesarza nie jest następcą tronu.

Cesarz Franciszek Józef zatem, udzielając swemu synowcowi pozwolenia na małżeństwo morganatyczne, postąpił jak dobry stryj, ale nigdy jak roztropny i przewidujący monarcha. Tem pozwoleniem wytworzył chaos i zamęt w stosunkach dynastycznych i w stosunkach państwowych. Do wielu powikłań i komplikacji, rozluźniających ustrój monarchji Habsburskiej, dodał jeszcze jedno utrudnienie, i to jedno z największych.

W czasie, gdy Franciszek Ferdynand uzyskał pozwolenie cesarza na swoje małżeństwo morganatyczne, hrabianka Zofja Chotek przebywała poza granicami Austrii. Prawie zaraz po jej wype-

żeniu z dworu w Preszburgu ze sfer dworskich na polecenie cesarza dano jej wyraźnie do zrozumienia, że powinna opuścić Austrię. Na miejsce schronienia wybrała Drezno, a to dlatego, że stolica Saksonji, leży o 5 kwadransów drogi koleją od granicy północnej Czech. Arcyksiążę Franciszek Ferdynand przeniósł się zatem do swoich dóbr, położonych w Czechach, i stamtąd w przebraniu, incognito i w jaknajwiększej tajemnicy udawał się do jednej z miejscowości Saskiej Szwajcarii, dokąd przybywała także hrabianka Chotek. Każde z nich miało więc tylko pół godziny drogi na miejsce spotkania.

Tych spotkań jednak nie było wiele, ponieważ policja polityczna austriacka z rozkazu cesarza pilnie śledziła zakochaną parę. Listy trzeba było także przesyłać drogą prywatną, gdyż poczta przejmowała korespondencję zakochanej pary.

Pozwolenie, którego cesarz udzielił na zawarcie małżeństwa morganatycznego między Franciszkiem Ferdynandem a hrabianką Chotek, zmieniło zasadniczo położenie młodej pary, a zwłaszcza narzeczonej. Wprawdzie do Austrii pozwolono hrabiance Chotek powrócić dopiero na dzień ślubu. Za miejsce odbycia obrzędu zaślubin wybrano zamek Reichstadt w Czechach, ten sam zamek, którego imię służyło za tytuł jednemu synowi Napoleona I. Obrzęd zaślubin odbył się dn. 1 lipca 1900 r. Natychmiast po ślubie doręczono małżonce arcyksięcia pismo cesarskie, nadające

jej tytuł księżnej Hohenberg (Fürstin) z prawem przekazania tego tytułu potomstwu. To odznaczenie nie zadowoliło ani nowej księżnej, ani jej małżonka. Dnia 8 czerwca 1905 r. arcyksiążę wyjechał dla swojej żony u cesarza prawo do predykatu „Durchlaucht“, t. zn. „Jaśnie Oświecona“. Wreszcie dnia 4 października 1909 r. cesarz nadał księżnej Hohenberg tytuł „Herzogin“ z predykatem Jej Wysokości (Hoheit) z zastrzeżeniem, że w randze dworskiej księżna Hohenberg ma prawo miejsca po najmłodszej arcyksiężnej. W praktyce zatem zatarł niemal zupełnie różnicę rangi między morganatyczną małżonką następcy tronu a członkami rodziny cesarskiej.

Nie odwdzięczono mu się przecież za tyle dobrodziejstw. Przedewszystkiem dlatego, że arcyksiążę Franciszek Ferdynand poprostu nie mógł doczekać się śmierci swego stryja. Było mu tak pilno do tronu, że wreszcie z brutalną otwartością i głośno wyrażał niezadowolenie z długiego życia cesarza.

— Ten stary dziad gotów żyć sto lat — mówił zupełnie głośno, i to nie tylko do najbliższych zauszników.

Ile razy cesarz zachorował, następcą tronu natychmiast zjawiał się w Wiedniu, jeżeli w danej chwili przebywał poza stolicą, i ostentacyjnie robił przygotowana do objęcia tronu. A gdy choroba cesarska szczęśliwie minęła, Franciszek Fer-

dynand niemal publicznie dostawał ataków wściekłego gniewu z racji doznanego zawodu.

Wielokrotnie przez osoby trzecie Franciszek Ferdynand podsuwał cesarzowi myśl abdykacji. Tłómaczył mu, że po długoletnim panowaniu ma prawo odpoczynku i że taki odpoczynek wpłynie dodatnio na stan jego zdrowia. Lecz cesarz za każdym razem stale odmawiał. Raz dlatego, że namiętnie kochał władzę i będąc monarchą od 18-go roku życia, nie umiał sobie wyobrazić siebie inaczej, aniżeli na stanowisku panującego. Po wtóre, poznał on już wtedy doskonale charakter swojego synowca. Zdawał sobie sprawę, że byłby wydany na jego łaskę i niełaskę, gdyby musiał żyć jako ekscesarz pod twardą pięścią nowego monarchy. Franciszek Ferdynand, już wówczas występujący brutalnie wobec stryja, stałby się poprostu okrutny w wyszukiwaniu upokorzeń coraz to boleśniejszych dla bezbronного starca.

Nie mogąc namówić stryja do abdykacji, Franciszek Ferdynand usiłował wyrwać cesarzowi władzę monarszą po trochu z rąk. Przedewszystkiem zaczął od wojska. Utrzymywał, że cesarz za mało troszczy się o armję. Skutkiem tego zaniedbania armji dynastja i państwo są narażone na wielkie niebezpieczeństwo. On więc jako dziedzic korony ma nie tylko prawo, lecz nawet obowiązek troszczenia się o to, by podnieść poziom armji i marynarki wojennej. Żądał od cesarza nominacji na generalnego inspektora wojsk. Ce-

sarz z początku odmawiał. Arcyksiążę ponawiał swoje żądanie i to w tak brutalnej formie, że pewnego razu po odebraniu odmownej odpowiedzi wybiegłszy z gabinetu cesarza, zatrzasnął za sobą drzwi tak mocno, iż stojący obok olbrzymi wazon z porcelany chińskiej spadł z postumentu na podłogę i rozbił się w kawałki. Cesarz dostał formalnej gorączki ze zdenerwowania, ilekroć „pan synowiec“ meldował się u niego o audjencji.

Wreszcie cesarz pod naciskiem ciągłych awantur stracił część swojej odporności i podpisał nominację Franciszka Ferdynanda na swojego zastępcę w sprawach wojskowych. Arcyksiążę natychmiast dopuścił się niełojalności względem monarchy. Urządził sobie bowiem taką samą kancelarię gabinetową cywilną i taką samą kancelarię wojskową, jaką miał cesarz. Żaden akt państwowy od tej pory nie mógł uzyskać zatwierdzenia cesarskiego tak długo, dopóki następcy tronu nie wyraził nań swojej zgody. Ludzie arcyksięcia utworzyli formalny drugi rząd w państwie. Biada ministrowi, który miał nieszczęście pozostać wiernym cesarzowi. Natychmiast ściągali on na siebie nienawiść Franciszka Ferdynanda, który wzywał do siebie nieszczęsnego ministra i wyrażał mu swoje niezadowolenie często w jaknajbardziej ordynarnej formie.

Ofiarami prześladowań ze strony arcyksięcia padali nie tylko ministrowie wojskowi i generałowie,

ale także ministrowie cywilni, jak np. hrabia Aehrenthal. Rzecz przytem znamienita, że Aehrenthala w czasach, gdy tenże był jeszcze baronem i ambasadorem austro-węgierskim w Petersburgu, arcyksiążę narzucił cesarzowi w mieszkaniu Agenora hr. Gołuchowskiego na ministra spraw zagranicznych. Gołuchowskiego znieważał publicznie, ponieważ osła, na którym jego dzieci jeździły na zamku Konopischt w Czechach, nazywał „Golu“ od przezwiska, jakim w kołach arystokratycznych zwano hr. Gołuchowskiego. Było to w 1906 r. A już w półtora roku później Aehrenthala nienawdził jeszcze bardziej, niż Gołuchowskiego, i odzywał się o nim w sposób niesłychanie obelżywy.

Wogóle obelgi brutalne, jakimi obsypywał ludzi przez siebie zniechędzonych, a nienawdził trzech czwartych osobistości oficjalnych i żywił pogardę dla całej ludności Austro-Węgier, przy równoczesnym uwielbieniu bałwochwalczem swojej żony i swoich dzieci — wszystko to nosiło cechy patologicznego zwyrodnienia. Znać było, że jest to człowiek nienormalny, którego złą naturę podsycaly jeszcze chorobliwe przypadłości, będące następstwem przebytej choroby piersiowej.

Na takie natury złe i chorobliwe wpływ do broczynny może wywierać żona, jeżeli jest kobietą dobrą i rozumną. Niestety o księżnej Hohenberg trzeba wydać opinię, że była z natury złą,

mściwą i pyszną. Wszystkie te pierwiastki tkwiły w niej jeszcze gdy była panną. Upokorzenia, których zaznała na stanowisku damy dworu w Preszburgu, przyczyniły się znacznie do pogłębienia owych wad wrodzonych. To też zostawszy żoną przyszłego cesarza, pofolgowała wszystkim ujemnym pierwiastkom swojej nieszlachetnej natury. Biada każdemu, ktokolwiek raz jeden miał nie-szczęście się jej narazić. Domagała się dla siebie honorów i zaszczytów, które się jej wcale nie należały, ani ze stanowiska etykiety dworskiej, ani ze stanowiska zwykłej słuszności. Wiedząc, jaki wpływ wywiera na męża, pchała go do coraz to nowych wykroczeń przeciwko etykietce dworskiej, byle tylko korzystać z odznaczeń, przynależnych właściwie prawowitej małżonce następcy tronu. Zobaczmy poniżej, że właśnie ta gonitwa za nienależącymi jej honorami spowodowała śmierć obojga małżonków w Sarajewie dnia 28-go czerwca 1914 r.

Do tych wszystkich ujemnych cech charakteru przyłączyła się chciwość, która ośwładnęła zarówno arcyksięciem, jak i jego żoną. Jedynym usprawiedliwieniem tej chciwości, była okoliczność, że wręcz chorobliwie pragnęli oni oboje zebrać olbrzymią fortunę dla swych trojga dzieci, jakimi Opatrzność pobłogosławiła ich związek: córki najstarszej i dwóch synów.

Z ojca, arcyksięcia Karola Ludwika, Franciszek Ferdynand nie był bardzo bogaty. Pozostały

majątek trzeba było podzielić pomiędzy pięcioro dzieci. Z chwilą jednak, gdy Franciszek Ferdynand został następcą tronu, przypadły mu w udziale dochody roczne z olbrzymiego fideikomisu książąt Modeny, zastrzeżone statutem familijnym Habsburgów dla każdorazowego następcy tronu.

Franciszek Ferdynand i księżna Hohenberg nie tylko kapitalizowali wszystkie te dochody, nie wydając z nich niemal jednego grosza, lecz — jak się pokazało po ich śmierci, — potajemnie i wbrew ustawie zaciągnęli olbrzymią pożyczkę, zagwarantowaną przyszłemi dochodami z tego fideikomisu. Za te pieniądze kupili oni szereg wielkich majątków, przeznaczając je dla swoich dzieci. Wyrachowanie polegało na tem, że Franciszek Ferdynand, spodziewając się zostać cesarzem, ciachaczem obiecywał sobie, że jako monarcha odbierze przyszłemu następcy tronu ten fideikomis na tak długo, jak długo będzie trwała spłata zaciągniętych długów. Było to więc oszustwo ze stanowiska prawnego, a nieuczciwość ze stanowiska etyki chrześcijańskiej. Ta sprawa, wykryta zaraz w kilkanaście dni po śmierci Franciszka Ferdynanda, wywarła na opinii publicznej w Austrii i na Węgrzech jak najgorsze wrażenie. Dzieciom arcyksięcia groziła całkowita ruina, ponieważ rząd majątkowy rodziny Habsburgów wystąpił ze skargą, domagającą się zabrania na rzecz funduszu dynastycznego wszystkich majątków, zaku-

pionych nieprawnie przez Franciszka Ferdynanda. Jego dzieciom groziła kompletna ruina.

I wtedy cesarz Franciszek Józef, zapominając o czarnej niewdzięczności, jaką Franciszek Ferdynand i jego żona odplacali mu wszystkie otrzymane dobrodziejstwa, oświadczył urzędownie, że płaci z własnej szkatuły prywatnej wszystkie długi Franciszka Ferdynanda, byle tylko utrzymać dla dzieci zabitego dużą fortunę. W tym wypadku zaś chodziło o bardzo wielką — jak na przedwojenne stosunki — sumę, bo o 22 do 27 milionów koron.

Prócz tego wielkiego nadużycia, będącego formalnem oszustwem, Franciszek Ferdynand dopuszczał się szeregu drobniejszych nadużyć na niekorzyść skarbu i opodatkowanych obywateli. Aby nabywać majątki ziemskie tanio, wyszukiwał takie objekty rolne, które były w gorszym stanie. Następnie przeprowadzał bardzo dobrze obmyślane inowacje agronomiczno-techniczne, lecz nie z pomocą wynajętych i płaconych przez siebie rolników prywatnych, tylko z pomocą bataljonów wojsk technicznych. Dwa pułki inżynierji wojskowej przez czas dłuższy musiały pracować w dobrach arcyksięcia, by doprowadzić je do należytego stanu kultury rolnej. Korzyść z tych robót wyciągał arcyksiążę, ale za roboty płacił skarb państwa. W państwie praworządne takie posługiwanie się wojskiem na cele prywatne kwalifikuje się słusznie jako nadużycie. To też dziwiono

się powszechnie Franciszkowi Ferdynandowi, że w pogoni za majątkiem nie cofał się przed tego rodzaju praktykami, pachnącemi kryminałem.

Wśród tych praktyk były i takie, które po prostu rozśmieszały swoją małostkowością.

Podczas pobytu w Wiedniu Franciszek Ferdynand z rodziną rezydował stale we wspianym pałacu Belvedere, zbudowanym ongi przez słynnego wodza, księcia Eugenjusza Sabaudzkiego. Rezydencja pozawiedeńska następcy tronu mieściła się we wspianym zamku czeskim Konoispicht. Tam księżna Hohenberg urządziła dużą pralnię, do której posyłała z Wiednia raz na tydzień całą bieliznę dworską, zarówno osobistą, jak i stołową, ponieważ koszta prania w Konoispicht były daleko niższe, niż koszta prania w Wiedniu. Dla przesyłania tej bielizny tam i z powrotem kursował na specjalny rozkaz arcyksięcia osobny pociąg raz na tydzień. Ale kosztów uruchomienia tego pociągu arcyksiążę nie ponosił; obciążały one budżet kolei państwowych, czyli w drobnej części kieszon każdego opodatkowanego obywatela austriackiego. W państwie praworządne takie nadużycia, gdy popełnia je osoba, stojąca blisko tronu, podkopują powagę dynastji i przyczyniają się do rozluźnienia trybów maszyny państwowej.

Księżna Hohenberg na swój sposób uprawiała metodę oszczędności. I tak doskonalej nauczyła się gry na forteplanie, pannie Svoboda, siostrze

późniejszego generała i ekscelencji, zaproponowała udzielanie lekcji muzyki swoim dzieciom po cenie trzech koron za godzinę.

— Wprawdzie wiem, że pani bierze daleko większe honorarium za swoje lekcje, lecz wzmian za tę obniżkę pozwolę pani opowiadać wszędzie, że jest pani nauczycielką muzyki moich dzieci.

Panna Svoboda z godnością odrzuciła tę propozycję przedowcipnej księżnej Hohenberg.

Pewnego razu księżna Hohenberg poszła do kuchni pałacu Belvedere i informowała się jak najdokładniej, ile potraw i co za potrawy dostaje na obiad i na kolację personel dworski i personel służby, wchodzący w skład dworu Belwederskiego. Po powrocie z kuchni wezwała do swego gabinetu naczelnego ochmistrza dworu arcyksięcia, generała księcia Lobkovic, członka jednego z najstarszych rodów czeskich, przynajmniej się jeszcze bardziej, niż Chotkowie, do narodowości czeskiej.

— Ekscelencjo — odezwała się księżna Hohenberg z grymasem wielkiego niezadowolenia na swej dumnej twarzy. — Jestem bardzo niezadowolona z tego, co widziałam w kuchni.

Księżę Lobkovic ze swobodą prawdziwie wielkiego pana obrzucił spojrzeniem nieco ironicznym tę kobietę, która już zapomniała, że jeszcze przed kilku laty byłaby bardzo szczęśliwą,

gdymby księżę Lobkovic raczył przemówić do biednej hrabianki Chotek.

— Kuchnia dworska stanowczo wydaje u nas za dużo pieniędzy — mówiła księżna. — Zbyt hojnie i obficie karmimy naszych ludzi. Życzę sobie, ażeby służba dostawała od jutra o jedną potrawę mniej na obiad i o jedną potrawę mniej na kolację.

Księżę Lobkovic z dworską galanterją nasamprzód uklonił się księżnej Hohenberg, a następnie wyprostowawszy się, odparł z godnością:

— Wasza Wysokość raczy postarać się o innego naczelnego ochmistrza dworu, ponieważ księżę Lobkovic takiego zarządzenia nie wyda.

Księżna zagryzła wargi i już nie nastawała więcej na reformy oszczędnościowe w kuchni Belwederskiej.

Chłopi i właściciele ziemscy, którzy mieli nieszczerze sąsiadować z którymś z majątków arcyksięcia, przeklinali swój los. Franciszek Ferdynand dążył bowiem wszelkimi sposobami, a najczęściej bezprawiem i gwałtem do obrzydzenia im życia, żeby w ten sposób móc za jak najniższą cenę nabyć ich grunta i wcielić je do swoich posiadłości.

Wogóle Franciszek Ferdynand nic sobie robił z życia, zdrowia i mienia obywateli austriackich. Świadczy o tem fakt następujący.

Po swojej ciotce, ostatniej księżnej Modena, Franciszek Ferdynand oddziedziczył wspaniały pałac na Beatrixgasse w bardzo ludnej i wytwornej dzielnicy Landstrasse. Do pałacu przylegał duży ogród, będący zbiornikiem świeżego powietrza dla setek domów sąsiednich. Arcyksiążę w pogoni za nowym zyskiem postanowił ogród rozparcelować i zabudować. Sam pałac zaś obrócił na wielką remizę samochodową. W tym celu z pomocą kilku Francuzów zawiązał towarzystwo akcyjne dorożek samochodowych. Akcjonariusze i zarząd jednak byli to ludzie podstawieni. W łącznym właścicielu towarzystwa, czyli przedsiębiorcą był sam arcyksiążę. Powziął on plan puszczenia na miasto trzystu taksówek samochodowych. Zbiorniki benzyny, remizy, warsztaty mechaniczne i poczekalnia dla szoferów—wszystko to miało się mieścić w owym wspaniałym pałacu na Beatrixgasse. Na prowadzenie przedsiębiorstwa trzeba było jednak otrzymać pozwolenie magistratu wiedeńskiego. Arcyksiążę wniósł podanie, a raczej wniosła je dyrekcja spółki akcyjnej, przyczem kancelarja gabinetowa arcyksięcia żądała od magistratu, aby udzielił jak najszybciej potrzebnego pozwolenia. Magistrat odmówił, uzasadniając odmowę tem, że w samym środku miasta, w dzielnicy gęsto zabudowanej i zaludnionej pomieszczenie zbiorników benzyny jest niedopuszczalne, pomimo wszelkich bowiem środków ostrożności mogą one eksplodować, co

pociągnęłoby za sobą ruinę kilkudziesięciu domów i śmierć oraz kalectwo kilkuset osób.

Na rozkaz arcyksięcia zarząd spółki wniósł natychmiast podanie po raz drugi. Wtedy właściciele okolicznych domów i liczni ich mieszkańcy przesłali do magistratu protest przeciwko udzieleniu pozwolenia, zwracając uwagę na to, że prócz niebezpieczeństwa wybuchu już samo pomieszczenie remizy dla dorożek samochodowych w spokojnej i wytwornej dzielnicy zmieniłoby zasadniczo charakter tej ostatniej. Przyплыw i odpływ szoferów, mechaników, ich żon i kochanek, wyjazd dorożek na miasto oraz ich powrót zmienia spokojne ulice tej dzielnicy, mieszczącej liczne pałace ambasad i poselstw, na pełne gwaru, smrodu i brudu ulice dzielnic fabrycznych. Magistrat więc po raz drugi udzielił odpowiedzi odmownej na podanie spółki. Wówczas arcyksiążę wezwał do siebie burmistrza miasta Wiednia, dr. Ryszarda Weisskirchnera, byłego ministra przemysłu i handlu i długoletniego prezesa Izby Poselskiej i zwymyślałszy go, jak żaka, zapowiedział, że w razie dalszego oporu magistratu obejdzie się bez pozwolenia i otworzy przedsiębiorstwo samochodowe bez licencji. Weisskirchner, nie chcąc zadzierać z przyszłym monarchą, który mógł odmówić zatwierdzenia jego osoby w razie ponownego wyboru na burmistrza, przeszedł do porządku dziennego nad wyraźnym brzmieniem

ustawy przemysłowej, pominął milczeniem protesty ludności i kazał wydać licencję.

Możnaby w nieskończoność cytować te i temu podobne brudne sposobiki, przy pomocy których Franciszek Ferdynand i jego żona usiłowali zebrać jak największe pieniądze dla swoich dzieci. Niestety, ambicja obojga rodziców sięgała znacznie dalej, aniżeli zebranie dziesiątków milionów koron.

Franciszek Ferdynand od samego początku, gdy został ojcem dwóch synów, postanowił zapewnić im trony monarsze. I właśnie te ambicje dynastyczno-monarchistyczne Franciszka Ferdynanda, podsycane bardzo zręcznie przez Wilhelma II i politykę pruską, stały się przyczyną wybuchu Wojny Światowej. Tę część planów Franciszka Ferdynanda opisał bardzo obszernie i źródłowo jeden z najwybitniejszych publicystów angielskich i kierownik polityczny dziennika „The Times”, p. Wickham Steed.

Ambicje rodzinno-monarchistyczne Franciszka Ferdynanda odpowiadały doskonale planom zaborszym Wilhelma II i tradycyjnej polityki pruskiej. Celem zjednania Franciszka Ferdynanda cesarzowa Augusta z polecenia męża pierwsza zaproponowała księżnej Hohenberg, aby obie panie mówiły do siebie od tej pory „ty”. Takie niezwyczajne odznaczenie oślniło ambitną eks-hrabiankę Chotek, a jej męża uczyniło powolnym narzędziem w rękach Wilhelma II. W latach, które

nastąpiły po aneksji Bośni i Hercegowiny przez Austro-Węgry, arcyksiążę wraz z żoną często odwiedzał Wilhelma II, przeważnie incognito. Podczas tych zjazdów układano daleko idące plany zaborsze. Miały one zapewnić Hohenzollernom hegemonję w Europie i dać trony obu synom arcyksięcia Franciszka Ferdynanda.

Wreszcie te plany skryształizowały się w następującym układzie.

Arcyksiążę Franciszek Ferdynand zobowiązywał się zmusić cesarza Franciszka Józefa do równoczesnego wypowiedzenia wojny razem z Niemcami cesarzowi rosyjskiemu, a oprócz tego Austro-Węgry miały wypowiedzieć wojnę Serbji. Gdyby Francja, związana sojuszem z Rosją, podjęła wojnę celem niesienia pomocy sprzymierzeńcowi, Austro-Węgry wypowiedziałyby wojnę także i Francji. Zarówno Wilhelm II, jak i Franciszek Ferdynand byli przekonani, że wojna nie potrwa dłużej, niż 10 do 12 tygodni. Niemcy miały zabrać wschodnią i północną część Francji oraz Belgję, pozatem część większą Królestwa Polskiego, Litwę i wszystkie prowincje nadbałtyckie razem z Finlandją.

Starszy syn arcyksięcia Franciszka Ferdynanda, książę Maksymiljan, urodzony w 1902 r., miał panować nad państwem, złożonym z Czech, Moraw, Śląska austriackiego, Galicji, resztki Królestwa Polskiego oraz t. zw. Ukrainy rosyjskiej,

pod czem obydwaj kontrahenci rozumieli Wołyń, Podole i część właściwej Ukrainy.

Drugi syn Franciszka Ferdynanda, książę Ernest, urodzony w 1904 r., miał zostać królem Węgier, przyczem państwo węgierskie powiększonoby przez przyłączenie Bośni i Hercegowiny i całego Królestwa Serbskiego oraz Albanji.

Dotychczasowy przewidywany następca tronu austriacko-węgierskiego i synowiec Franciszka Ferdynanda, arcyksiążę Karol, utrzymałby się przy posiadaniu Wiednia, Austrii Dolnej i Górnej i krajów alpejskich łącznie z Trjestem i Istrią, podczas gdy Dalmacja miała być włączoną do państwa węgierskiego, przeznaczoną dla księcia Ernesta. Franciszek Ferdynand, planując rozbięcie monarchji Habsburskiej i popełniając zdradę względem dynastji, której był członkiem, nie miał odwagi wyciągnięcia ostatecznych konsekwencji i pozbawienia Habsburgów całkowicie tronu i korony. Dlatego też chciał swemu synowcowi pozostawić panowanie nad Wiedniem i krajami alpejskimi, ale równocześnie zgadzał się na żądanie Wilhelma II, by ten władca Wiednia i krajów alpejskich wszedł w skład Rzeszy Niemieckiej i uznał nad sobą zwierzchnictwo cesarza Niemiec w takim stopniu, w jakim uznawał je król bawarski.

Dla siebie Franciszek Ferdynand pozornie nie zastrzegał żadnego tronu. W rzeczywistości je-

dnak przewidywany traktat zawierał klauzulę, mówiącą, że Franciszek Ferdynand ma być regentem obu państw aż do pełnoletności obydwu synów.

Zarówno Wilhelm II, jak i Franciszek Ferdynand do tego stopnia lekceważyli sobie osobę cesarza Franciszka Józefa, oraz interesy dynastji Habsburgów, że postanowili spisać pomiędzy sobą formalny traktat, zawierający szczegółowe postanowienia wyżej wzmiankowanej umowy. W połowie czerwca 1914 r. cesarz Wilhelm II w towarzystwie ministrów i wielkiej świty wojskowej zjechał na zamek Konopischt. Gazety wiedeńskie i berlińskie, donosząc o pobycie Wilhelma II na owym zamku, twierdziły, że celem wizyty cesarza było obejrzenie wspaniałych plantacji róż. Te plantacje róż istotnie były cudowne i słynęły na całą Europę. Oczywiście, ani prasa obu krajów, ani opinja publiczna nie wiedziały o istotnym celu wizyty Wilhelma II. Pozostaje też pod znakiem zapytania, czy cesarz Franciszek Józef dowiedział się o podpisaniu traktatu i o jego treści. Pan Wickham Steed twierdzi, że dzięki nadzorowi, który z polecenia Franciszka Józefa policja polityczna stale utrzymywała nad następcą tronu, jego rokowania z Wilhelmem II i układ, podpisany w Konopischt, nie były tajemnicą dla dworu wiedeńskiego. Cesarz Franciszek Józef przygotował się też do sparaliżowania tego układu w odpowiedniej chwili. Źródła czeskie i serb-

skie posuwają się nawet dalej, ponieważ twierdzą, że zamach w Sarajewie był dziełem policji austriackiej, aczkolwiek sprawcy zamachu wcale się nawet nie domyślali, że przez szereg długi podstawionych osobistości oni, patrioci bośniaccy i serbscy, byli w gruncie rzeczy wykonawcami kary, wyznaczonej przez Franciszka Józefa na odstępcę i zdrajcę dynastji i państwa.

Obaj spiskowcy pożegnali się w różowych humorach. Termin wybuchu wojny wyznaczili na dzień 1 sierpnia 1914 r. Tymczasem Wilhelm II-gi powrócił z Berlina, ażeby przygotować się do swojej zwykłej, latem podejmowanej podróży morskiej na wody północnej Norwegji, podczas gdy Franciszek Ferdynand miał udać się w ostatnim tygodniu czerwca do Bośni i Hercegowiny celem przeprowadzenia tamże wielkich manewrów wojskowych. Żaden z nich nie przypuszczał, że nie ujrzą się już więcej w życiu. Franciszek Ferdynand nie zdawał sobie sprawy, że ta podróż do Bośni miała być jego ostatnią podróżą, a Wilhelmowi II wydałoby się szaleństwem, gdyby ktoś mu powiedział, że za wywołanie owej wojny zapłaci on utratą korony i kłeską wojenną Niemiec.

Podróż Franciszka Ferdynanda do Bośni miała być według postanowień cesarza podróżą ściśle wojskową. O jakichkolwiek uroczystościach dworskich i nawiązaniu stosunku z ludnością cywilną nie było mowy w programie, ułożonym

przez ministerja i zatwierdzonym przez cesarza. Tembardziej nie było mowy o udziale księżnej Hohenberg w owej podróży, podjętej przez arcyksięcia w charakterze wojskowym i dla celów wyłącznie wojskowych. Lecz arcyksiążę, uniesiony pychą, zlekceważył sobie postanowienia władz i cesarza. Na własną rękę, nie pytając się nikogo, zabrał z sobą żonę i zawiadomił od siebie wprost szefa rządu krajowego i naczelnego komendanta wojsk w Bośni, generała Potiorka, że przybędzie do Bośni w towarzystwie księżnej Hohenberg, swojej małżonki, i nakazuje władzom wojskowym i cywilnym, ażeby wszędzie oddawały księżnej Hohenberg honory wojskowe i cywilne, przynależne małżonce następcy tronu. Dygnitarze wojskowi i cywilni austro-węgierscy, urzędujący w Bośni, byli pod owe czasy już do tego stopnia steroryzowani grubjańskimi wystąpieniami Franciszka Ferdynanda, że żaden z nich nawet nie pomyślał, by w sprawie zmienionego programu odnieść się do Wiednia i zapytać, czy taka zmiana zaszła z wiedzą i za przyzwoleniem cesarza.

I znowu Franciszkowi Ferdynandowi nawet przez myśl nie przeszło, że samowolnie zmieniając program i nakazując uroczyste przyjęcia publiczne dla swojej żony, kopie i dla niej i dla siebie grób.

Jest bowiem dzisiaj rzeczą stwierdzoną, że tylko te uroczyste przyjęcia publiczne dostarczy-

ly młodym spiskowcom sposobności do urzędzenia zamachu na arcyksięcia i jego żonę. Gdyby Franciszek Ferdynand trzymał się punktów programu, ustanowionego w Wiedniu, byłby przebywał w obozach wojskowych, nie byłby przyjechał do Sarajewa i w Sarajewie nie byłoby się odbyło uroczyste przyjęcie i przejazd przez ulice, przepełnione tłumami ciekawej publiczności. Tymczasem arcyksiążę, nie mogąc się oprzeć żądzy zaprezentowania swojej żony, jako przyszłej monarchini, wymógł na Potioreku, że dnia 28 czerwca w godzinach rannych urządził on uroczysty wjazd arcyksięcia i jego żony do stolicy Bośni. Arcyksiążę wraz z żoną mieli przejechać przez miasto aż do ratusza, na ratuszu miał ich powitać burmistrz miasta, a z ratusza goście mieli udać się do pałacu (Konaku) szefa rządu, który miał wydać na ich cześć uroczyste śniadanie.

Ulice Sarajewa, miasta, które przez kilkaset lat należało do Turcji, są stosunkowo wąskie, nawet w tych dzielnicach, które budowano już za panowania austriackiego. W tych ulicach więc wobec nagromadzonej publiczności samochody dworskie, wiozące gości, z powodu braku miejsca nie mogły jechać zbyt szybko. Wszystko to były okoliczności sprzyjające spiskowcom i ułatwiające im wykonanie zamachu.

Pokazało się potem, że spiskowcy, wszystko ludzie bardzo młodzi, bo część z nich nie liczyła nawet 18 lat skończonych, podzielili się na dwie

grupy. Pierwsza grupa była uzbrojona w bomby, druga w rewolwery. Pierwszy zamach mieli wykonać ci spiskowcy, którzy byli uzbrojeni w bomby. Dopiero wtedy, gdyby pierwszy zamach się nie udał, mieli do akcji wystąpić posiadacze rewolwerów.

Pogoda była prześliczna. Ścisk na ulicach olbrzymi, domy przyozdobione odświętnie. Nic nie zapowiadało zbliżającej się tragedji. Władze bezpieczeństwa publicznego nie przedsiębrały nawet zbyt daleko idących środków ostrożności, ponieważ nikomu nie przychodziło na myśl, aby istniała możliwość jakiegoś zamachu. Od wielu lat o zamachach na monarchę lub na członków dynastji w Austro-Węgrzech nikt nie słyszał.

W pierwszym samochodzie jechał dyrektor policji, jak to przewiduje zwykły w krajach monarchicznych regulamin podczas wjazdów uroczystych monarchy lub jego przedstawiiciela, będącego członkiem dynastji, w drugim samochodzie jechał następca tronu, a obok niego księżna Hohenberg, podczas gdy naprzeciwko dostojnej pary tyłem do szofera siedział szef rządu krajowego, gen. Potiorek. W dalszych samochodach jechali członkowie świty wojskowej i cywilnej arcyksięcia.

Publiczność w języku niemieckim, węgierskim i serbskim wznosiła okrzyki: „Hoch! Eljen! Živio!“

Naraz wśród tych okrzyków dał się słyszeć huk, a potem krzyki przestachu i wrzawa pomieszanych głosów.

Arcyksiążę podniósł się z siedzenia i obejrzał się poza siebie. Zobaczył, że jadący w następnym samochodzie jeden z adjutantów ślania się i jest zbuczony krwią.

— Rzucono na nas bombę! — zawołał obracając się do żony i do generała Potiorek.

— Jedźmy dalej — odpowiedziała żona.

Istotnie samochód arcyksięcia posuwał się dalej ku ratuszowi, podczas gdy zranionego adjutanta przewieziono do szpitala.

Jeszcze dzisiaj trudno zrozumieć, jakim to trafem spiskowcy, rzucając bombę z bardzo bliskiej odległości, mogli chybić i trafili w samochód adjutantów, zamiast w samochód arcyksięcia.

Na ratuszu burmistrz, machometanin, chciał powitać dostojnych gości uroczystą przemową. Ale był już bardzo zmieszany, ponieważ wiadomość o zamachu dotarła do ratusza jeszcze przed przybyciem arcyksięcia. Ten ostatni, bardzo wzburzony, szorstko przerwał burmistrzowi i nie dał mu przyjść do słowa.

— U was zabijają ludzi na ulicach! — krzyknął arcyksiążę. — Zapamiętam to sobie dobrze na przyszłość.

Burmistrz chciał coś powiedzieć, lecz arcyksiążę odwrócił się do niego plecami i polecił gen. Potiorekowi, żeby w drodze powrotnej z ratusza

do Konaku cały orszak zatrzymał się przed szpitalem, ponieważ on, arcyksiążę wraz z żoną chcą odwiedzić przewiezionego tamże rannego adjutanta. Gen. Potiorek zapewnił arcyksięcia, że może śmiało przejechać miasto, spokój bowiem został przywrócony, wszyscy zamachowcy są już w rękach władzy i życiu dostojnych gości nie zagraża żadne niebezpieczeństwo.

Znowu więc arcyksiążę i księżna Hohenberg wsiedli do swego samochodu, a nawprost nich zajęli miejsce gen. Potiorek. Samochody znowu musiały posuwać się wolno, ponieważ — jak się okazało po wyjściu z ratusza — tłumy publiczności wciąż zalegały ulice i policja z trudem torowała miejsce dla pojazdów.

Samochód dyrektora policji skręcił w ulicę, prowadzącą do szpitala, a tuż za nim skręcał zwoła na samochód arcyksięcia.

Wtem z odległości kilku kroków padł strzał rewolwerowy. Tylko jeden. Publiczność spleciona zaczęła rozglądać się za sprawcą. Ujrzano młodego chłopca, który usiłował wydobyć się z tłumu. W rękę trzymał jeszcze rewolwer. Z okrzykami: „To on, on strzelił!“ ujęto go i oddano w ręce nadbiegających policjantów.

Tymczasem samochód arcyksięcia jechał dalej, jakgdyby nic nie zaszło. Gen. Potiorek widział wprawdzie, że krew zalewa mundur arcyksięcia i suknię księżnej Hohenberg, lecz nie zdawał sobie sprawy z istotnego stanu rzeczy. Są

dział, że zostali oni ranni, ale tak stracił przytomność, że nie pomyślał o jakimkolwiek ratunku. Do ostatka, t. j. aż do chwili, kiedy samochód zatrzymał się przed portalem Konaku, dokąd Potiorek kazał szoferowi zawrócić, nie przyszło mu do głowy, że ma przed sobą dwa trupy. Dziwnym trafem bowiem młody student bośniacki Princip — takie nazwisko nosił zabójca — trafił jedną kulą w sposób śmiertelny swoje obie ofiary. Kula przebiła krtań arcyksięcia, a następnie przebiła również gardło księżnej Hohenberg. Ta ostatnia — jak wykazała sekcja — skończyła wcześniej, aniżeli jej małżonek. Gdy oba ciała przeniesiono do sali Konaku, wszelki ratunek okazał się już bezskuteczny.

VI.

W dniu zamachu w Sarajewie cesarz znajdował się już na wywczasach letnich w Ischlu. Wiadomość o katastrofie zatelefonowano do Ischlu z Wiednia około południa. Zaniósł ją cesarzowi do jego gabinetu flegeladjutant hr. Margutti.

— A więc Opatrzność — zawołał cesarz po otrzymaniu wiadomości — nigdy nie pozwala bezkarnie szydzić ze swoich wyroków.

Te słowa cesarskie były potem różnie tłumaczone. Jedni twierdzili, że Franciszek Józef dopatrywał się w zabójstwie arcyksięcia kary Bożej za jego małżeństwo morganatyczne. Inni utrzy-

mywali, że cesarz wiedział o zdradzie arcyksięcia i o jego planach rozbicia państwa na korzyść jego synów. W gwałtownej śmierci arcyksięcia i jego żony widział zatem palec Boży. Ze ta druga wersja ma za sobą dużo cech prawdopodobieństwa, dowiódł w tydzień potem pogrzeb zwłok arcyksiążęcych. Wbrew bowiem wyraźnym postanowieniom statutu rodzinnego Habsburgów na rozkaz cesarza trumna ze zwłokami arcyksięcia nie spoczęła w podziemiach klasztoru OO. Kapucynów w Wiedniu, lecz została wywieziona poza Wiedeń do mało znanej i odległej od stolicy miejscowości Arstetten. Tam pochowano arcyksięcia razem z żoną. Zarówno wybór miejsca wiecznego spoczynku, jak i cały ceremoniał pogrzebowy świadczył, że arcyksięcia już nie uważano za członka dynastji i że dynastja niejako ostentacyjnie odrzekała się wszelkiej łączności z tym, który projektował rozbicie państwa Habsburskiego.

Mimo śmierci arcyksięcia jednak klika arystokratów, dyplomatów i generałów, która była wtajemniczona w jego plany, umiała dzięki swojej solidarności i bezwzględności wywołać wojnę. Według wszelkiego prawdopodobieństwa ta klika działała według wskazówek, z podniety i przy pomocy dworu berlińskiego. Hohenzollernowie, którzy dążyli zawsze do zapanowania nad kontynentem Europy, posługiwali się poprzednio osobą arcyksięcia Franciszka Ferdynanda. Gdy tenże

zginął na ulicach Sarajewa, skorzystali z jego śmierci i za pośrednictwem oddanych sobie polityków i generałów austro-węgierskich wmówili w starego cesarza, że należy skorzystać ze sposobności i zagarnąć Serbję. Wojna potrwa co najwyżej dwa albo trzy tygodnie. W rezultacie Serbję wcieli się jako prowincję do monarchji Habsburskiej. Kwestja południowo-słowiańska przestanie być niebezpieczną dla Austro-Węgier. Powaga dynastji i monarchji wzrośnie w dwójnasób.

Franciszek Józef nigdy nie orjentował się dobrze w zagadnieniach polityki międzynarodowej. W 1914 r. był już zgrzybiałym starcem, wprawdzie jeszcze systematycznie załatwiającym takie czynności monarsze, jak podpisywanie aktów, lecz zgoła nie rozumiejącym prawdziwego położenia Austro-Węgier. Przystał na wojnę z Serbją i podpisał ultimatum. A tem samem podpisał wyrok na zagładę własnej dynastji i własnego państwa. Dziwna ironja losu! Do rozbicia Austro-Węgier dążył Franciszek Ferdynand i zginął, lecz mimo jego śmierci to rozbicie stało się faktem z winy Franciszka Józefa.

Wśród wielu tragicznych postaci rodu Habsburgów Franciszek Ferdynand zajmuje miejsce jedno z najwybitniejszych i najbardziej krwawych. Z jego imieniem pozostanie raz na zawsze związana Wojna Światowa, śmierć wielu milionów ludzi, pożogi i gwałty, krwawa rewolucja w Rosji,

upadek dynastji, wielkie zmiany w mapie politycznej Europy.

A wreszcie godzi się wspomnieć, że zabójca Franciszka Ferdynanda, młodociany student bośniacki Princip, wprawdzie nie wstąpił na szafot, ponieważ w chwili zamachu nie miał jeszcze 18 lat skończonych, ale w celi więziennej, do której go wsadzono na całe życie, pewien lekarz wiedeński z rozkazu władz austriackich zaszczepił mu gruźlicę. Princip umarł jeszcze przed końcem Wojny Światowej.



Następna książeczka Nr. 56:

Aurelja Wyleżyńska
„BIAŁA CZARODZIEJKA“

Marja Kalergis z Muchanow — jasna piękność, znana na wszystkich ówczesnych dworach i salonach Europy; przedmiot westchnień artystów ubiegłego stulecia; nieszczęśliwa miłość genialnego poety Norwida, uwielbienie Cavaignac'a.

Triumfuje wśród poetów. Piszą o niej Hugo, Heina, Musset.

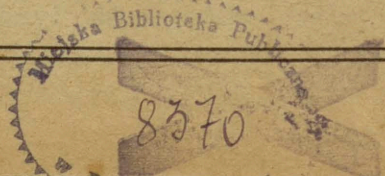
Liszt, Szopen (była jego uczenicą i znakomitą odtwórczynią), Wagner i Moniuszko nie mają słów podziwu dla jej talentu i fenomenalnej „białej piękności“.

A jej kaprysy, przygody, wojaże, jej filantropja i ona w powstaniu 1863 r. składają się na niezmiernie ciekawą opowieść.

—o—

Tomik Nr. 57
z cyklu „Teatralnego“
Hanna Skarbek
„ELEONORA DUŠE“.

—o—



8370

3